Cena w Warszawie i na prowincji 40 gr. № 9.

REFLEKTOR

Pismo Tygodniowe

Warszawa, dnia 11 marca 1928 r.

Pod pręgierzem wyniku wyborów.

Wyniki wyborów ujawniły w całej okazałości blagę dziennikarską, uprawianą z iście niepoczytalnym tupetem w okresie przedwyborczym przez pewne odłamy prasy, a w szczególności przez prasę, uważającą się za katolicką i narodową.

Ci z pośród dziennikarzy, którzy zbyt zagalopowali się w tej bladze, będą oczywiście starali się teraz o zatuszowanie poprzednich kłamstw nowemi kłamstwami, udając w dalszym ciągu ideowych pracowników w służbie narodowej i licząc że czytelnik gazet nigdy nie pamięta tego, co czytał kilka dni temu, — będą się wycofywali ze zbyt daleko posuniętej blagi na „zgóry upatrzone pozycje“, — objawy tej taktyki już można zauważyć w niektórych gazetach, — i dlatego warto oświetlić nieco te metody „pracy“ dziennikarskiej.

Nie wątpimy, że niektórzy dziennikarze posługiwali się blagą nieświadomie, wierzyli, że piszą prawdę, że dają rzeczywiste obrazy sytuacyj czy nastrojów, — ale to nie zmienia postaci rzeczy: faktem pozostanie, że nieświadomie czy świadomie — to wszystko jedno—źle informowali swoich czytelników, oszukiwali ich.

Cóż bo sądzić np. o niedawnych wywodach p. Romana Dmowskiego, który przecież jako polityk zawodowy i główny wódz „obozu narodowego“ powinienby znać ten swój obóz, a który mimo to dawał takie obrazy sytuacji, że muszą być one poczytane albo za świadomą, celową blagę, albo też za przejaw zamroczenia zdolności postrzegania (czyżby starość?).

Niespełna sześć tygodni temu, t. j. wtedy, gdy nawet człowiek, stojący zdala od wszelkich partyj mógł na podstawie dorywczych obserwacyj wyrobić sobie pewne pojęcia o dokonywującej się przemianie ugrupowań — wtedy p. Roman Dmowski— tak jak by od pięciu lat nic się w Polsce nie zmieniło — najspokojniej pisze sobie w „Gazecie Warszawskiej“ (z dn. 27 stycznia r. b.) takie zmyślone historyjki o „obozie narodowym“:

„Dziś gdy różne stronnictwa rozsypują się jak mur z lichej cegły, gorszym jeszcze cementem zlepiony, związek ludowo-narodowy, *jedynie nie dotknięty plagą dezercyj*, *stoi jak stał*, a obóz narodowy, jako całość, znajduje się w okresie szybkiego swych sił odradzania“.

„Z obozu narodowego bez względu na sezon polityczny nie odbywa się emigracja. Ludzie, którzy służą narodowi, jako całości, którzy mniej więcej uświadomili sobie w czem tkwi dobro ojczyzny, nie zmieniają celu swych dążeń, dlatego, że inny wiatr zawiał... Oto dlaczego *obóz narodowy żyje i rozwija się*, pomimo, że ma tylu i takich zaciekłych wrogów...“

Wprost wierzyć się nie chce, że takie rzeczy pisał na pięć tygodni przed wyborami — bądź co bądź — polityk.

Wybory ukazały nam w cyfrach ten rozwój obozu, nie dotkniętego plagą dezercji: zamiast stu mandatów w Sejmie poprzednim—trzydzieści kilka mandatów w Sejmie obecnym. Jest to też rozwój, ale rozwój w kierunku zagłady.

Mało tego. Tamto było pisane w styczniu. Bardziej zdumiewające jest, że polityk p. Dmowski w ciągu całego miesiąca lutego nie zauważył żadnych zmian w nastrojach społeczeństwa— i w przeddzień wyborów dnia 3 marca r. b. miał odwagę pisać jeszcze:

„Nie wątpię, że idziemy do wytworzenia jednego wielkiego stronnictwa narodowego, w którem połączą się wszystkie żywioły i narodowe

i katolickie, i że wybory obecne są w tym względzie punktem zwrotnym".

Nazajutrz okazało się, że to wielkie stronnictwo będzie miało trzydziestu kilku posłów.

To dopiero jeden przykład. A takich przykładów blagi przedwyborczej możnaby przytoczyć całe setki.

Codzień się czytało w „Gazecie Warszawskiej" i innych pismach tegoż kierunku o masowych akcesach, zgłaszanych przez wszystkie warstwy społeczeństwa w całym kraju we wszystkich miastach i miasteczkach do Bloku katolicko-narodowego 24, codzień spotykało się tytuły: Lista 24 zyskuje coraz większą popularność, a nawet w przeddzień wyborów dn. 3 marca (to było śmiałe!) ukazał się wielkiemi literami drukowany nagłówek: Zwycięstwa obozu katolicko-narodowego w kraju!— a potem: że wszędzie wszyscy uchwalili głosować na listę № 24.

A ileż blagi było z temi grzechami i złą obroną katolicyzmu rzekomo zagrożonego!

Wybory okazały, że jednak ogromna większość polaków i katolików nie zawahała się zgrzeszyć śmiertelnie, głosując na listę № 1 i inne, a nie głosując na Nr. 24. Nigdy jeszcze w żadnym kraju nie było tylu grzeszników.

Oczywiście, że dziennikarze wycofują się teraz z tej blagi na temat „katolicyzmu wyborczego" — ani słówkiem nie wspomną teraz o grzechu, nie wysnuwają konsekwencyj z własnych twierdzeń.— będą teraz blagowali i już blagują w inny sposób. A konsekwencje owe byłyby bardzo nieprzyjemne, blaga mści się przedewszystkiem na tych, którzy ją uprawiają. Na szczęście nikt tej blagi nie chce brać na serjo i nawet najprawdziwszy „mason i wróg kościoła" nie będzie twierdził, że Polska wcale krajem katolickim nie jest, że katolików jest w Polsce znikoma mniejszość i t. d. — jakkolwiek metody agitacyjne prasy narodowej uprawniałyby w zupełności do takich wniosków. Przecież codzień czytało się w tej prasie, że prawdziwy katolik może głosować tylko na listę 24, że kto będzie głosował na Nr. 1, ten jest wrogiem kościoła i katolicyzmu, że popełni grzech śmiertelny.

Dzisiaj już o tem cicho.

Dzisiaj obmyśla się nowe kłamstwa, aby przekonać okpionych przez prasę „katolików narodowych", że mimo wyniki wyborów prawdziwy katolicyzm i prawdziwa „narodowość" jest tylko pod znakiem 24, że tych trzydziestu kilku posłów reprezentuje interesy całego kościoła i interesy całego narodu, że „jedynka" wcale zwycięstwa nie odniosła (już to sobie wykombinował p. Stroński), a nie jest wykluczone, ze niedługo zaczną dziennikarze „narodowi" dowodzić (oni wszystko potrafią), że prawdziwe i niewątpliwe zwycięstwo przypadło właśnie liście 24.

Ale to już nie pomoże.

Blaga przedwyborcza zbyt daleko była posunięta, aby się można było teraz niepostrzeżenie z tej blagi wycofać. Liczba 24, która miała być symbolem katolicyzmu i „narodowości", stała się symbolem blagi i niczem więcej.

I niech się politycy z pod znaku 24 i usługujący im dziennikarze nie łudzą, ze społeczeństwo tych metod ich „walki politycznej" nie przejrzało. Wybory do Sejmu w dniu 4 marca są dowodem, że czas złudzeń już minął. Wybory do Senatu w dniu 11 marca potwierdzą to w jeszcze większym stopniu.

„Wszystko poświęć dla Polski".

Cennym i pięknym dokumentem czasów, a zarazem głosem wzywającym do opamiętania tych którzy najbardziej zabrnęli w bladze i matactwie politycznem, jest poniższy list otwarty p. Popławskiej, wdowy po Janie Popławskim — twórcy i teoretyku Narodowej Demokracji (zmarłym w 1908 r.). List ten ogłoszny w „Kur. Porannym" brzmi jak następuje:

Do najbliższych przyjaciół mego męża.

W tej wielkiej, przełomowej dla Polski chwili, od której nietylko ład i porządek, lecz może dalsze jej istnienie zależy — ja, jako niegdyś żona Człowieka, któregoście mianowali swoim przewodnikiem, ja, która wszystkie ideały, pragnienia i ukochania Jana Popławskiego mam najgłębiej w sercu wyryte, bo byłam mu najbliższym i najwierniejszym towarzyszem pracy, — wobec tych szaleństw walk partyjnych, przybierających coraz groźniejsze formy — z trwogą w sercu — co dalej będzie — stoję przed wami. I zapytuję—gdzie jesteście wy wszyscy czyści i niepokalani niegdyś w swych zamierzeniach, najbliżsi i najwierniejsi współpracownicy Jana Popławskiego? Gdzie jesteście? Niewidzę i nie czuję was tam, gdzie każde czujące polskie serce znaleźć się powinno, ażeby zwalczyć tę straszną hydrę — partyjnictwo?

Gdzież się skryła wasza mądrość sprawiedliwa i ta najszczytniejsza cnota samozaparcia się? Czyż nie macie już dość siły moralnej, ażeby ująć ster w ręce i zdusić ten przerażający huragan rozszalałego partyjnictwa, ten wyścig otumanionych nienawiścią fanatyków i innych, podszywających się pod najświętsze hasła narodowe, o zgangrenowanych duszach, podążających z myślą o pełnym korycie? Czyż już nie macie w duszach waszych tej bohaterskiej odwagi, wy, niegdyś tak mocni duchem, ażeby zawrócić i, pociągnąwszy za sobą te ogłupiałe fanatyzmem rzesze, wejść na inną, jedyną dziś dla dobra Polski drogę — drogę zjednoczenia się, połączenia się *w jedno*? Czyż nie czujecie, że na tej drodze, która wśród mrożących krew w żyłach zamętów, tak jasno się przed nami zarysowywuje, powinni znaleźć się wszyscy, którzy nie z nazw uzurpowani, lecz z ducha i z czynów życia swego są Polakami? Że na tej drodze właśnie my wszyscy, podawszy sobie ręce, zwartym szeregiem, ramię przy ramieniu powinniśmy stanąć przy tym Wielkim Patrjocie, czystym jak łza, Człowieku — Józefie Piłsudskim, ażeby wszystkiemi siłami dopomóc Mu w budowaniu silnej Polski, a w chwilach ludzkiej słabości życzliwie Go pod-

trzymać? Jeżeli naprawdę jesteście spadkobiercami ideałów Jana Popławskiego, którego czyste nazwisko wywieszacie na waszych sztandarach, to powinniście odczuć tak, jak ja to całą duszą czuję, że On z całą pokorą i samozaparciem się Wielkiej Duszy takie, a nie inne zająłby stanowisko.

I oto w tej poważnej, decydującej chwili myśl moja, tak jak dawniej, do was się zwraca, lecz was nigdzie niema, więc zapytuję, gdzie jesteście? Coście zrobili ze sztandarem waszego Wodza, który był przecież i waszym sztandarem, a godło jego było: *Wszystko poświęć dla Polski.*

Jestem już słaba i nie mogę dopomóc Ci w pracy, Czcigodny Marszałku, lecz duchem stoję przy Tobie. A za Twą Chrystusową zdolność przebaczenia i trwania, w głębokim hołdzie czci pochylam przed Tobą swoją białą głowę.

Janowa Popławska.

WANDA CHAJĘCKA.

Moje wspomnienia z roku 1905|6.

PRZYPISEK REDAKCJI:

P. Wanda Chajęcka należy do zastępu tych ludzi, którzy Polski zadarmo nie dostali, a którzy dla wyzwolenia Ojczyzny uczynili ofiarę z całego życia swego. Polska dzisiejsza — to plon ich trudów i walk, podejmowanych wtedy, gdy wielu szanownych „działaczów" trwało w wygodnym dosycie i bezpiecznej ugodzie z najeźdźcą, — a przeżycia, o których mówią poniższe wiersze — to cegiełki, z których bojownicy wolności wznosili fundament, dźwigający dzisiaj gmach Nowej Polski. — Sprawy te należą już do przeszłości, lecz mimo to powinny one trwać ciągle w żywej pamięci współczesnych i potomnych, bo ta przeszłość była tworzywem teraźniejszości i jest tworzywem przyszłości Wspominając owe czasy i działania, oddajemy zarazem należną cześć tym ludziom, którzy nie dla nagrody lecz dla samej idei najbardziej bezinteresownej oddawali życie, a w których szeregu znajdowała się też pisząca poniższe wspomnienia niestrudzona bojowniczka wolności p. Wanda Chajęcka.

Rok 1905 i 1906. Ileż to wspomnień niosą te lata pamiętne — lata burz i ucisku! Wspomnień radosnych, pełnych nadziei i wiary w lepsze jutro Polski, w jasną przyszłość męczeńskiego narodu— obok których snują się też wspomnienia ciemne, ponure, tragiczne. Z tych czasów pracy podziemnej przeciw caratowi wspominam w poniższym opisie z własnych przeżyć, pomijając sprawy drobniejsze, trzy wydarzenia czyli raczej trzy wyprawy.

Do P. P. S. wprowadził mnie towarzysz Jur (Jan Gorzechowski). W partji znaną byłam jako „Irena". Najpierw prowadziłam biuro W. K. R. (Warszawski Komitet Robotniczy), a później wstąpiłam do bojówki. Zdawało mi się, że bojówka najbardziej odpowiada mojej idei, t. j. walce o wolność Polski, a całem pragnieniem, ideałem i celem mego życia, była wolna, zjednaczona i niepodległa Polska. Praca, do której przeszłam, była ciężka i bardzo niebezpieczna; lecz niebezpieczeństwo mnie pociągało, miało dla mnie jakiś urok niewysłowiony, i szłam, jak idzie żołnierz na bitwę, z weselem i radością, chociaż wie że może zginąć; lecz żołnierza czekała kula na polu chwały, a mnie podziemia i lochy więzień lub haniebny stryczek, ale nawet i taka śmierć byłaby dla mnie chwałą, więc szłam ochotnie na ten bój zacięty, a krwawy. Tak, szłam na bój, a byłam prawie pewna, że wyjdę z niego zwycięsko. Jakaś Opatrzność czuwała nademną wówczas, jakaś gwiazda szczęścia jaśniała wtedy dla mnie, która broniła mnie od zbirów i opryszków carskich. Ileż razy podczas największych rewizji, przechodziłam obładowana cała bronią, uginająca się niemal pod jej ciężarem, ileż razy wchodziłam wprost w paszczę potwora i odchodziłam bezpiecznie.

Jesienią 1905 r. wstrząsnęła Warszawą niebywała wieść. Była to wieść o bohatersko-śmiałym napadzie napadzie na kasę Mazowiecką i zabraniu z niej pół miljona rubli. Coś podobnie śmiałego dokonać mogła tylko P. P. S. Tak, był to czyn nadzwyczaj śmiały, a co najważniejsze, że ani jedna kropla krwi nie była przelaną. Warszawa była poruszona, jedni zachwycali się, inni o sercach słabych i tchórzliwych potępiali ten napad. Wiadomość ta doszła i do biura, gdzie pracowałam, i sprawiła mi ogromną radość; pieniądz to jeden z najpotężniejszych środków do walki z uciskiem i niewolą carską. Po wyjściu z biura poszłam na zebranie W. K. R. gdzie otrzymałam rozkaz pojechać po odbiór 30 tysięcy rubli. Około godziny 5 — 6 wsiadłam do dorożki z towarzyszem „Amerykaninem" i pojechaliśmy w stronę Pragi. Przyjechaliśmy do jakiegoś domu i tam w ubogiem mieszkaniu spotkał nas młody towarzysz robotnik, który z dumą i triumfem wskazał nam na dużą paczkę nowych trzyrublówek leżącą na łóżku. Połowę tej sumy zapakawałam na siebie, z ogromną trudnością zapięłam ciasno palto, towarzysz mój zrobił to samo i pojechaliśmy z powrotem. Byłam dziwnie spokojna, nie czułam najmniejszego lęku, chociaż na ulicach roiło się od policji, żandarmów i innych zbirów carskich. Nie bałam się, chociaż widziałam, jak zatrzymywano dorożki i przechodniów i rewidowano wszystko i wszystkich, szukano zabranej gotówki, a ja jechałam bez lęku, spokojna, pewna siebie. Droga powrotna była daleka nareszcie przyjechaliśmy do jakiegoś mieszkania gdzie wyładowałam swój towar i wróciłam do domu.

Druga wyprawa była trochę gorsza i o wiele niebezpieczniejsza. Pewnego pochmurnego jesiennego dnia posłano mnie z towarzyszką „Lirą" do Ożarowa po zabranie od jednego towarzysza 30 funtów dynamitu, gdyż mieszkanie jego było

szpiclowane; spodziewano się lada dzień rewizji, więc jak najprędzej trzeba było wszystko to zabrać, żeby niepożądani goście znaleźli mieszkanie zupełnie czyste.

Pierwszy raz w życiu widziałam dynamit, nie wiem czy każdy tak wygląda, ale ten podobny był do długiego sznura serdelków. Żeby łatwiej było go zapakować na siebie, zaczęłam przecinać nożyczkami ten sznur, tak jakbym oddzielała serdelek jeden od drugiego. Krając nałykałam się porządnie tego zapachu, a później zapakowałam to wszystko na siebie, w nic nie zawinąwszy, resztę zapakowałam do małej walizki. Towarzyszka moja nie krajała i nie pakowała na siebie, tylko zrobiła ręczną paczkę. Po zapakowaniu tego wszystkiego, musieliśmy wracać do Warszawy. Pociąg ma niedługo odejść, do stacji daleko, a tu noc, ciemna, nieprzejrzana, piekielna ciemność; taka piekielna, czarna noc może być tylko w duszach moskiewskich carów i ich płatnych katów. Idziemy, raczej biegniemy, a tu błoto, lepka, gliniasta, wstrętna ciecz błotna, nogi grzęzną, trudno wyciągać z tego błota, gubię jeden kalosz, nie szukam, biegnę dalej, drugi kalosz pozostał w lepkiem błocie, zostawiam go do towarzystwa pierwszego, biegniemy, słychać gwizdek, biegniemy coraz prędzej, już z jakąś dziką furją, nareszcie szczęśliwie dobiegamy, wskakujemy do wagonu, pociąg rusza.

Jadąc, poczułam, że z moją głową coś dziwnego się stało, zdawało mi się, że zamiast głowy mam stopudowy ciężar na karku, kości jakby mi kto wyłamywał, zamiast krwi, żywa lawa płynęła w żyłach. Nie wiedziałam co to jest, co się stało. Wysiadając z wagonu, prawie zataczałam się, lecz walizki nie oddałam tragarzowi, który podszedł do mnie. Wsiadłam z towarzyszką Lirą do dorożki i pojechałam do jej mieszkania, gdzie zostawiłam swój niebezpieczny towar, a sama wróciłam do domu prawie nieprzytomna, mając już tylko jedno pragnienie: prędzej do łóżka. Na drugi dzień nie mogłam się już dźwignąć, nie miałam głowy tylko olbrzymią armatę, którą nie mogłam ruszyć, nogi i ręce wyłamywano mi, a całe ciało szarpano rozpalonymi kleszczami. Dano znać do biura, że jestem bardzo chora, żeby przyszedł lekarz. Przybył wkrótce, zbadał, znalazł tyfus i kazał iść do szpitala.

Bo i skądże prawomyślny lekarz kolejowy mógł przypuścić nawet, że to nie żaden tyfus, tylko silne zatrucie nitrogliceryną. Na szczęście przyszła do mnie koleżanka moja biurowa p. Sacewiczowa, której ufałam bezwzględnie. Dowiedziawszy się całej prawdy, pojechała zaraz i sprowadziła zaufane-

WŁADEK-KULAS

(Kartka z kroniki sielskiej).

NAPISAŁ

GABRYEL KARSKI.

(Dokończenie).

Odzyskawszy wolność, Władek powrócił do swej chałupy — w sam przeddzień narodzin swego pierworodnego syna. Przez pierwsze trzy dni zachowywał się spokojnie i nie wtrącał się do żony ani dziecka, lecz po upływie tego czasu, wyczerpawszy wszystek domowy zapas kaszy i ziemniaków, zmusił Kasię do zwleczenia się z pościeli i kazał jej rozpalić ogień, przynieść wody ze studni i wystarać się o cokolwiek na wieczerzę. Na dworze było chłodno i padał deszcz. Kasia przeziębiła się. Odtąd zaczęła kaszlać, skarżyć się na bóle „w sobie", przyczem słabła, mizerniała i z każdym dniem stawała się bledsza; oczy jej świeciły niezdrowym blaskiem, a usta miała sczerniałe, spalone gorączką. Po kilku tygodniach nader intensywnej kuracji — opartej na szturchańcach i przekleństwach, których nie szczędził jej małżonek — zakończyła życie. Przed samą jednak śmiercią ta kobieta tak cicha, nieśmiała i pokorna, wezwała męża by siadł przy jej łóżku i, bystro patrząc mu prosto w oczy, tonem stanowczym wygłosiła przemowę, jakiej Władek nigdyby się nie spodziewał od niej usłyszeć, i która przeto wywarła na nim niejakie wrażenie:

— Słuchaj, Władek, mówiła, ja za chwilę umrę. Ale, chociaż mnie tu już nie będzie, będę czuwać nad Jankiem. Pamiętaj: jeżeli będziesz bił mego synka i źle się z nim obchodził, to ja wrócę z tamtego świata... wrócę i będę cię straszyć i chwytać za gardziel... i nie dam ci ani chwili spokoju. A uważaj Władek: ta chałupa jest moja i przypadnie Jankowi; jeżeli ty go zabijesz — tak jak-eś mnie zabił — moi bracia odbiorą ją i ciebie precz wygnają. Nie bij mojego dziecka, pamiętaj, nie bij go...

Po pogrzebie Kasi matka jej zamieszkała na nowo w chałupie, by opiekować się młodą latoroślą Władka-Kulasa. Mimo srogą nędzę panującą w domu, mały Janek rósł zdrowo — dzięki czułym staraniom i zabiegliwości swej babki, która zawsze potrafiła zdobyć dlań nieco mleka, cukru i chleba pszennego. Chłopczyk był ładny, sympatyczny, łagodny przytem i spokojny — jak nieboszczka Kasia, której był wykapanym portretem, nie odziedziczywszy jedynie jej straszliwego „wilka". Władek nie uderzył go nigdy: bał się starej, a przedewszystkiem pamiętny był gróźb usłyszanych od umierającej żony.

Aliści, gdy Janek skończył dwa lata, babka jego umarła: skończył się błogosławiony okres słodyczy, mleczka, masełka, bułeczek, — a niezadługo miejsce poczciwej i tak serdecznie doń przywiązanej staruszki, która go pieściła, opowiadała piękne bajeczki i nucąc kołysała do snu — zajęła młoda tęga macocha, krzykliwa i twardej ręki...

Dwukrotnie bowiem owdowiały Władek znalazł trzecią połowicę.

Jak się to stało, co wpłynęło na to, że owa Magda, która nie była ani ułomna, ani zbyt szpetna, zdecydowała się na małżeństwo z odrażającym plu-

go lekarza, który stwierdził bardzo silne zatrucie, kazał wszystkie lekarstwa wyrzucić, a wziąć natychmiast bardzo ciepłą kąpiel, co też uczyniłam. Po kąpieli zrobiło mi się trochę lepiej, leżałam przez kilka dni, odwiedził mnie towarzysz Jur (J. Gorzechowski), który powiedział, że to jest drobnostka, gdyż znał towarzysza, który spał na dynamicie i nic mu nie było.

„Jak to nic? spytałam zdziwiona.

„No nic, tylko później umarł na gruźlicę gości", była odpowiedź.

Trzecia wyprawa była dla mnie najważniejszą i najsympatyczniejszą, lecz i najniebezpieczniejszą. Przeczytaliśmy w gazetach, że w jakimś domu w Warszawie nastąpił wybuch, prawdopodobnie bomby; po sprawdzeniu policja znalazła strzęp ludzkiego ciała. Winowajca wybuchu zniknął bez śladu. Wszystko to było prawdą. Winowajcą był jeden z tych nieustraszonych bojowników o wolność, jeden z tych młodych zapaleńców, niosących życie swoje na ofiarę wolności i prawdy. Młody bojownik przyrządzał bombę. Nie wiem dla kogo ta bomba była przeznaczoną, może dla jednego z katów Polski, może dla jednego z tych, którzy nie tylko zabijają ciało, lecz i duszę polską. Wybuch nastąpił wcześniej niż potrzeba, bomba oderwała lewą rękę i poraniła mu cały bok, a on miał na tyle siły woli, że chwycił rewolwer i pomimo szalonego bólu, cały poraniony, ociekający krwią, zaczął uciekać. Na schodach jakaś kobieta zagrodziła mu drogę, wołając „panie co to było?" lecz on ją odepchnął, wskoczył do dorożki i kazał się wieźć, co koń wyskoczy, grożąc rewolwerem. Przestraszony dorożkarz popędził i zawiózł go do wskazanego domu.

Tego człowieka potrzeba było ratować za jaką bądź cenę, za cenę chociażby swego własnego życia, Teraz ja już sama ofiarowałam się zawieźć go do Krakowa. Przez granicę nie można go było wieźć, gdyż tam był jego rysopis. Człowiek ten już raz skazany był na śmierć i udało mu się uciec. Trzeba go było wieść przez Kalisz, Skalmierzyce. Dostałam dla siebie i dla niego paszporty o niemieckich nazwiskach. Pewnego pięknego listopadowego dnia 1906 r. pojechałam na dworzec Kaliski, gdzie przywieziono mi rannego, posadzono nas do wagonu II kl. i pojechaliśmy. Droga była bardzo długa i szalenie męcząca, wiozłam ciężko chorego, który potrzebował ciągłej opieki, a za którego życie ręczyłam swojem życie. W Skalmierzycach kiedy przyszedł żandarm z paszportami i zapytał, „kak wasza familja", ja przez jedną ćwierć sekundy zapomniałam swoje niemieckie nazwisko, trwało to

---

gawym kulasem — pozostanie nierozwikłaną zagadką. Wprawdzie głupia to ona była ta Magda, we wsi uchodziła nawet za „niespełna rozumu", lecz, właściwie biorąc, mniemanie to upowszechniło się dopiero po tem jej osobliwem zamążpójściu...

Nietylko to mówiono we wsi... Opowiadano także, że nieboszczka Kasia przychodziła do chałupy nocą, straszyła śpiącą parę. ciągała ich za nogi i za włosy, przewracała „statki" na kominie i okrutne wyprawiała hałasy.

Należy stwierdzić, iż snać Magda była wyzwolona od ciemnych przesądów, bowiem te zaświatowe represje bynajmniej nie przeszkadzały jej bić i coraz gorzej maltretować swego nieszczęsnego, Bogu ducha winnego pasierba, który teraz licho i skąpo karmiony — przeważnie samemi ziemniakami — i wiecznie zalęknioný i drżący — rychło cofnął się w rozwoju zarówno fizycznym jak umysłowym: chłopczyk zapomniał mówić i chodzić, zesłabł, zniedołężniał i stał się głupkowaty, co sprowadzalo mu nowe katusze ze strony zawziętej macochy. Władek — z obawy postradania domostwa w razie śmierci Janka — usiłował interwenjować i zabronić żonie katowania dzieciaka; lecz nic nie wskórał, jeszcze tylko sam kilkakrotnie oberwał po pysku od baby.

Słuchy o tem co działo się w chałupie Władka-Kulasa dotarły do dziedziczki; przez pamięć na Kasię, którą często widywała pilnie pracującą w jej pięknym ogrodzie, dziedziczka, zdjęta litością nad małym męczennikiem, postanowiła spróbować czy nie da się dziecka uratować i oświadczyła Władkowi i jego żonie gotowość zabrania Janka i zaopiekowania się nim, aż dopóki wyrośnie i wydobrzeje.

Ale dla serca i intelektu chłopskiego prosty przejaw bezinteresownej dobroci jest nietylko czemś niedorzecznem i zgoła niepojętem, lecz przedstawia się jako podstęp, jako zdrada, jako zamaskowany zamach. Władek i Magda to niespodziane oświadczenie potraktowali oboje z nieufnością, podejrzewając, że dziedziczka może ma na celu wywłaszczenie ich, wyrzucenie z chałupy, którą mieli prawo zamieszkiwać do czasu dojścia Janka do pełnoletności; zwrócili się do sąsiadów którzy również nie mogąc spenetrować co się kryło w propozycji dziedziczki, odradzili im jej przyjęcie, boć według ich opinji „nie bez kozery taka wielga pani miałaby wtrącać się do naszych chłopskich spraw"; deliberowali nad tą kwestją długo i frasobliwie, w tępych mózgach ważąc wszelkie pro i contra — i ostatecznie, po srogich wahaniach odmówili swej zgody, „kłaniając się pięknie pani dziedziczce" i wśród wykrętnych podziękowań tłumacząc, że im „okrutnie markotno byłoby rozstać się z tym robaczkiem". Osobliwy i nieoczekiwany był ów przypływ ojcowskiej i macoszej serdeczności... Ale nie było rady, niepodobna było przymusić ich siłą; dziedziczka poprzestała na przysyłaniu co pewien czas żywności dla Janka, który niemniej wkrótce zakończył swe tragiczne bytowanie.

Po śmierci chłopca krewni Kasi natychmiast podjęli walkę o chałupę; lecz wobec powstałego podówczas prawa o ochronie lokatorów usiłowania wysiedlenia czepiających się jej kurczowo Władka-Kulasa i Magdy spełzły na niczem. Przypadek do-

jedno mgnienie tylko, lecz przez to mgnienie przeżyłam całą wieczność.

Jechaliśmy całą dobę, kilka razy potrzeba było przesiadać się, co z rannym było bardzo ciężko, a co gorzej, że ja słabo znam niemiecki język, więc to jeszcze utrudniało podróż. W Krakowie zawiozłam swego chorego do wskazanego mi mieszkania, odetchnęłam z ulgą myśląc, że już spokojnie będę mogła wracać do Warszawy, lecz niestety, nie sądzono mi to było. Dano mi w Krakowie masę broszur treści bojowej: o wyrabianiu bomb i t. p, miałam to wszystko zawieźć do Warszawy. Na zapytanie moje, co mnie czeka wrazie znalezienia przy mnie tej bibuły, odpowiedziano mi z najzimniejszą krwią: „co najmniej 15 lat ciężkich robót". Ja też z zimną krwią przyjęłam to do wiad mości. Zapakowałam całą bibułę na siebie i pojechałam z powrotem do Warszawy, teraz już przez Granicę. Na granicy po zrewidowaniu mej walizki, kiedy wyszłam na peron, żeby iść do wagonu, patrzę aż w drodze do wagonu stał cały szereg pasażerów, i żandarmów każdego pasażera rewidują. Pomyślałam, jeśli do mnie tylko, się dotkną, jestem zgubiona. Zastanowiłam się, co mam robić, czy pójść do damskiego pokoju i tam zostawić, to wszystko, co miałam na sobie, czy też, jak zwykle bez wahania iść śmiało naprzód. Wybrałam to ostatnie, myśląc, że moja szczęśliwa gwiazda będzie przy mnie.

Poszłam spokojna, pewna siebie, zdawało się obojętna na widok rewidujących żandarmów, i żaden z nich mnie nie dotknął, żaden nie zaczepił. Weszłam do wagonu, byłam ocaloną. Siedząc w wagonie, czułam nie tylko nienawiść, lecz i niezmienną pogardę do tego głupiego cara moskiewskiego i do jego wszystkich bezmyślnych, tchórzliwych, a okrutnych i nikczemnych pachołków. Do Warszawy przyjechałam szczęśliwie, oddałam gdzie należało bibułę, pojechałam do domu, umyłam się przebrałam się i po dwóch niespanych nocach poszłam do biura.

piero położył kres zaognionym sporom: był nim, z niewiadomej przyczyny wynikły pożar, który zniszczył pół wsi; spłonęła wtedy nędzna lepianka— źródło srogiej zawiści i cel namiętnych pożądań. A niejeden we wsi zauważył, że oto „Kasia pomściła się".

Władek-Kulas z żoną i córeczką, która im się urodziła przed samą katastrofą, znaleźli się bez dachu nad głową. Rozpoczął się wtedy ciężki okres tułaczki i zabiegów o schron i jakąkolwiek pracę. Minął rok, drugi, trzeci; nędza wzmagała się, nędza, wskutek której ani Władek ani Magda nie stawali się lepsi ani mędrsi. Sprzeczali się z sobą i często staczali formalne bijatyki, których obojętnym widzem była trzyletnia Wikcia — ładna dziewczynka, zdrowa, wyrośnięta, pieściwa jak kociak i — mimo niezbyt pogodną atmosferę familijną — wesoła jak ptaszek. Wikcia była bardzo przywiązana do matki; Magda obchodziła się z nią naogół łagodnie, nigdy jej nie biła i nawet od czasu do czasu zdobywała dla niej trochę mleka albo bułeczkę czy obwarzanek kupiony na targu w miasteczku.

Ojca—choć również nigdy jej nie bił—Wikcia nie lubiła; brzydziła się brudnym obdartym kuternogą, unikała go i wyrywała się z jego objęć, ilekroć unosił ją w górę i przyciskał do swego szczeciniastego plugawego policzka. Albowiem — zjawisko szczególne i które, gdyby wogóle nad takiemi zagadnieniami myślał, dla niego samego byłoby nie do wiary — Władek, który dotychczas nie kochał w życiu nikogo, kochał swoją córeczkę — sam sobie z tego nie zdając sprawy, jak zresztą nie zdawał jej sobie z awersji, jaką ku niemu żywiła **Wikcia.**

Pewnego letniego popołudnia Władek wracał do domu — był nim teraz kąt izby w jednym z czworaków — trzymając w ręce czerwone ładnie połyskujące jabłko, podarowane mu przez żydadzierżawcę sadu. Przeznaczał je dla małej.

Drzwi do izby były uchylone. W chwili gdy miał przestąpić próg, Władek usłyszał rozbrzmiewające wewnątrz ożywione głosy Magdy i Wikci. Odbywała się tam ważna konferencja. Oto Magdzie, która się rankiem była wybrała do miasteczka na targ, udało się sprzedać sześć jajek, zniesionych przez poczciwą kokoszkę, główną obecnie ich karmicielkę. Opowiadała o swym sukcesie Wikci, która kręciła się przymilnie, pociągając za matczyną kieckę i dopytując się:

— A coście przywieźli z miasta, matulu, co?

Niebawem rozległ się radosny okrzyk:

— Obwarzanki! Obwarzanki! Jakie śliczne! ale, ale — odezwała się po chwili, zniżając głos konspiracyjnie. — Trza je schować, bo przyjdzie Kulas, to złapie... Schowajcie, słowajcie, matulu, nie dajcie Kulasowi, nie dajcie...

Władek zawrócił z progu. W brudnej garści zaciskał swoje czerwone jabłko. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, usiadł przy drodze na skraju rowu i spojrzał tępo, bezmyślnie przed siebie. Sam nie wiedział co mu jest właściwie. Patrzał, patrzał, a po brudnych policzkach ściekały mu grube łzy, które odruchowo ścierał swobodną ręką. Po niejakim czasie przybliżył jabłko do ust — i zaczął jeść, przymawiając za każdym kęsem:

— Nie dajcie Kulasowi, nie dajcie...

Z SERJI BARBARZYŃSTW KULTURALNYCH.

Zawody bokserskie.

Dziennikarze sportowi (bo mamy już i takich specjalistów) są teraz nie w siódmem, ale chyba w siedemnastem niebie: codzień piszą o boksie. Mamy nareszcie ten polski boks i mamy pokaźną liczbę polskich bokserów, nawet mistrzów, a zawody bokserskie odbywają się coraz częściej—i to nietylko w stolicy, ale nawet po małych miasteczkach. Przez tyle lat sportowcy nasi narzekali na brak zainteresowania w Polsce dla sportu bokserskiego, aż doczekali się, że obojętność została przełamana — i dzisiaj boks stanowi już niepoślednią pozycję w zamiłowaniach sportowych polskiej młodzieży. Triumf. Zwycięstwo. Kultura.

Bo u nas — jak dotąd — mało kto poważy się sądzić, że nie koniecznie musi być „kulturą" wszystko co jest „made in England" albo „in U. S. A.". Tam się ludzie boksują, — musimy i my uczyć się boksu. Tam różni mistrze rozbijają sobie nosy i szczęki, a gawiedź płaci za takie widowiska miljony dolarów,—musimy i my dążyć do tego. Nie możemy przecież pozostawać „w tyle". Kultura!

I tak przywykliśmy widzieć „kulturę" we wszystkiem, co przychodzi do nas z zachodu, że nawet najzwyklejsze barbarzyństwo — jak zawody bokserskie — uważamy za przejaw kultury, za coś, bez czego nasza kultura narodowa byłaby niezupełna i bez czego narażeni bylibyśmy na wstyd wobec całego świata.

A więc potępienie boksu?

Tak. Boks jest sportem dzikim i brutalnym, jest barbarzyństwem — i nic tu żadne dowodzenia nie pomogą.

Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, muszę zaznaczyć, że odróżniam boks-sport i boks-zawodnictwo.

Boks traktowany jedynie jako sport, jako ćwiczenia cielesne, może być równie pożyteczny jak inne sporty: może przyczynić się do wyrobienia siły mięśni, sprawności fizycznej, czujności, spostrzegawczości, — w razie potrzeby może też dać sposób obrony przed napastnikiem,—i niechby sobie młodzież taki boks-sport uprawiała w szkołach, w salach gimnastycznych, w klubach sportowych—jako ćwiczenie dla ćwiczenia, bez żadnej krzywdy cielesnej dla współzawodnika, bez myśli o zwycięženiu, o pokonaniu przeciwnika. Nie byłoby w tem nic złego, ani brzydkiego— i z myślą o takim właśnie boksie-sporcie znakomity Maeterlink napisał nawet „Pochwałę boksu" (która to pochwała też zresztą niezupełnie przemawia mi do przekonania).

Gorzej jest (nawet bardzo źle), gdy się boks zaczyna traktować jako zawodnictwo: gdy urządza się publicznie zawody i przeróżne „mistrzostwa".

Wtedy — rzecz zupełnie zrozumiała — młody bokser nie myśli już o swoim sporcie jako o niewinnem ćwiczeniu, lecz zaczyna marzyć o zawodowości, o „laurach" (a właściwie o dolarach) Charpentiera czy Dempsey'a. A jako cel ostateczny każdego spotkania w zawodach występuje już nie samo ćwiczenie, lecz pokonanie przeciwnika bez względu na to, w jaki sposób do tego pokonania dojdzie. To już nie sport, a gra — i to gra dzika, zwierzęca.

Warunkiem pokonania współzawodnika jest przecież takie zboksowanie go, aby upadł i nie mógł się podnieść w ciągu liczenia do dziesięciu.

Cennym walorem w boksie jest przecież siła uderzenia: a gdy przeciwnik wyjdzie z walki z podbitem okiem, ze złamanym nosem, z wywichniętą szczęką lub z wybitemi zębami — to walkę uważa się za tembardziej emocjonującą.

„Krew na arenie" jest przecież w boksie atrakcją bardzo częstą.

I to ma być pięknym, kulturalnym i szlachetnym sportem?

I co za pomieszanie pojęć przytem!

Gdy się dwóch łobuzów pobije na ulicy, uważa się ich za opryszków, aresztuje i skazuje na kary,—gdy się pobije publicznie dwóch bokserów, tak, że trzeba ich potem oddawać pod opiekę lekarzy i chirurgów—uznaje się ich za mistrzów.

Gdy ktoś kogoś spoliczkuje uważa się to za obrazę honoru, wynikają z tego pojedynki i historje całe; gdy bokser przejedzie pięścią po fizjognomji przeciwnika tak, że ten padnie nieprzytomny, jest wtedy mistrzem.

A wreszcie ta najbardziej brudna strona całej sprawy: pieniądze. Zawodnicy pozwalają, że tłum gapiów za pieniądze ogląda to sponiewieranie ciała ludzkiego, to znęcanie się jednego zawodnika nad drugim aż do skutku t. j. do utraty przytomności, do utraty wszystkich sił. A już ohydą są te wielkie walki, za które sławni bokserzy otrzymują setki tysięcy dolarów i które są podmiotem imprez i zakładów wielomiljonowych.

A ile przytem blagi i szachrajstwa!

Wielki pisarz amerykański Jack London, znający swoje społeczeństwo do gruntu, w którego pismach spotyka się bardzo często tendencję dydaktyczną, poświęcił sportowi bokserskiemu jedną ze swoich mniejszych opowieści p. t „Arcybestja". Opowieść ta nie jest fantazją, lecz tylko w formę powieściową ujętym rzeczywistym obrazem stosunków bokserskich.

Oto co London mówi tam przez usta boksera Pata Glendona w mowie wygłoszonej na ringu przed ostatnią walką:

„Poprzednicy moi wyznali tu wszyscy, że są dumni z faktu swojej obecności na ringu w dniu dzisiejszym. Ja — nie jestem dumny. Nie jestem dumny z towarzystwa, w którem występuję. Walka, która niebawem nastąpi będzie moją ostatnią walką. Jutro już przestanę być bokserem. Czemu? Nie podoba mi się to towarzystwo. Sport bokserski jest przegniły do gruntu. Poczynając od drobnych klubów zawodowych, aż po wielkie machiny w rodzaju dzisiejszej uroczystości,

„Zgnilizna sięga od fundamentu po wierzchołki. Całość opiera się na zasadach business'u.— I pozwólcie sobie powiedzieć: to nie jest wina atletów. Oni nie tworzą sportu Protektorzy i manager'owie tworzą sport. Bokserzy — to tylko bokserzy. Zaczynają zwykle dość uczciwie: później fa-

chowcy albo wciągają ich w grę, albo topią w łyżce wody.

„Dzielniejszy rzadko zwycięża. Zaś, o ile do tego dochodzi, rzecz jest ukartowana zgóry. Większość olbrzymich zapasów, któreście oglądali, była ułożona zgóry. To jest cały program, cały system. Czy myślicie, że protektorzy kochają boks dla jego pięknych oczu? Nie. To są aferzyści.

„Bokserka — dobry sport, gdyby był uczciwy! I atleci byliby uczciwi, gdyby im na to pozwolono. Ale oszustwo jest większe od nich itd."

Warto przeczytać tę opowieść Londona, — jest tam znakomicie odtworzona cała zakulisowa strona boksu.

Oczywiście, że u nas w Polsce daleko jeszcze do takiego „rozwoju" boksu, jak w Ameryce — i dzisiaj niema jeszcze mowy o wielomiljonowych imprezach bokserskich i o całym brudzie tych imprez. U nas boks znajduje się dopiero w stadjum początkowem, lecz przez zawodnictwo publiczne wkracza już na tę drogę, która w rezultacie prędzej czy później doprowadzi do bokserstwa zawodowego,—a to jest barbarzyństwem.

Niechże więc dziennikarze sportowi tak zawzięcie propagujący zawody bokserskie, zastanowią się nieco nad tem, a będą może bardziej powściągliwi w wyrażaniu takich życzeń, jak: jakże daleko nam jeszcze do tego, co się widzi w Ameryce?

Do barbarzyństwa tęsknić tak gwałtownie nie trzeba.

Wędrówka po szpaltach prasy.

Akademicka Młodzież Wszechpolska ogłosiła w prasie „narodowej" odezwę „do społeczeństwa polskiego":

„Rada Naczelna Młodzieży Wszechpolskiej apeluje do wszystkich rodaków, aby w dniach 4 i 11 marca poparli w głosowaniu listę Komitetu Narodowego № 24".

Młodzież ta musi być doprawdy bardzo młoda ze wszelkiemi symptomami tej młodości, skoro ma śmiałość apelować „do wszystkich rodaków" i wyobrażać sobie, że „wszyscy rodacy" nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko czekać, co im młodzież wszechpolska powie.

Czy młodzież akademicka nie lepiej spędziłaby czas przy książce i nauce?

Przykład metod opozycyjnych prasy „narodowej". — „Gaz. Warszawska" z dn. 25 lutego na pierwszej stronie drukuje wielkiemi literami: „Zwyżka cen węgla i cukru... p. minister P. i H. obiecał, że wkrótce ceny węgla i cukru zostaną podniesione".

Gdyby nie wybory, nie zmyślałoby się takich rzeczy i nie robiło alarmu.

Nazajutrz P. A. T. stwierdza, że wiadomość ta jest z gruntu fałszywa.

Tego rodzaju fałszywe wiadomości spotyka się na każdej niemal szpalcie. Dziennikarze „pracują" w pocie czoła.

Chcieliśmy się przekonać, oczem też teraz piszę specjalne pisma kobiece, — co wytworna i piękna pani czyta, czem się interesuje,—i przejrzeliśmy № 4 dwutygodnika „Kobieta w świecie i w domu".

Stronica 1, 2, 3, i t. d. mody, mody, mody, suknie, sukienki, kostjumy, szal wieczorowy, pas trykotowy, pantofelki, buciki, — wreszcie poważny artykuł „O biciu wieprzy".

Autorka „Dobra gospodyni" podaje taki przepis:

„Otóż skoro karmnik przeznaczony do zabicia jest już dopasiony, w wigilję ostatniego dnia jego życia nie daje mu się wcale jeść, a tylko pić jaknajczęściej, aby kiszki przepłókać. Przy zabiciu nie trzeba kłóć karmika w serce, żeby nie zakrwawić łopatki czyli przedniej szynki, ale poderżnąć mu gardło..."

Szkoda, że obok tekstu nie została umieszczona fotografja autorki. Ciekawe byłoby zobaczyć, jak też taka „kobieta w świecie i w domu" wygląda.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„Samoukowi" w Wysokiem Mazowieckiem. — Podzielamy Pańskie zapatrywanie, że dalszy kulturalny rozwój kraju musi się oprzeć na podniesieniu oświaty ogólnej i specjalnej. Jeżeli chodzi o zastosowanie środków do polepszenia bytu materjalnego ludności wiejskiej, to również racjonalną wydaje się być specjalna oświata, uwzględniająca zajęcia rolnika i hodowcy. Wskazanym tutaj byłby system oświaty pozaszkolnej.

Drugim etapem tego rozwoju byłoby udoskonalenie warsztatów pracy, co zależałoby wtedy li tylko od pewnej pomocy w postaci pożyczek długoterminowych, udzielanych przez P. Bank Rolny lub przez prywatne tego rodzaju instytucje.

P. Janowi W w Zambrowie. — Jeżeli scalanie gruntów ma wyłącznie cel gospodarczy na względzie, to reforma rolna powinna odpowiadać jeszcze interesom państwa Dlatego zagadnienie racjonalnej reformy rolnej wiązać się powinno ściśle z zagadnieniem kresów wschodnich i północnych przedewszystkiem.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie, na prowincji i zagranicą: miesięcznie 1 zł. 60 gr., kwartalnie 4 zł. 80 gr.
Księżom, urzędnikom państwowym, nauczycielom i akademikom przysługuje zniżka 25%.
CENA OGŁOSZEŃ: cała strona 600 zł. i w tym stosunku każda część strony.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki, godz. 6—8.
Adres Redakcji i Administracji **Warszawa, Hoża 41. Konto P. K. O. 16525.**

REDAKTOR **LONGIN PYTLASIŃSKI.** WYDAWCA **HIPOLIT KONSTANTY OŻAROWSKI.**

Drukarnia „OSTOJA" Warszawa, Tamka 37. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.